



Henryk Barański

KONTUSZE a SPRAWA MORSKA

Sebastianowi Klonowiczowi, poecie XVI wieku, którego Wista do Gdańska na flisackich tratwach nosiła, zawdzięczamy spopularyzowanie wykretnego przekonania, że „może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze”. Skąd ta niechęć szlachty do morza? Skąd to uporczywe uważanie Polski za państwo kontynentalne?

Mieszko I walczy o ujście Odry i nawiązuje stosunki z Pomorzanami oraz Wikingami, którzy osiedlili się przy ujściu Odry. Bolesław Chrobry myśli nie tylko o opanowaniu Pomorza, ale także o zdobyciu Prus. Wysyła tam św. Wojciecha, który zginął na wybrzeżu bałtyckim, wysyła potem św. Brunona z Kwerfurtu, który ginie z rąk Jądzwingów. O Prusy walczy Bolesław Śmiały, po nim Bolesław Krzywousty, jego synowie i wnuki. Leszek Biały, książę mazowiecki, jak odnowiciel królestwa Przemysław II — są również ofiarami tych walk. Płowce i Grunwald — najwspanialsze i najpamiętniejsze bitwy polskie, są zarazem walkami o dostęp Polski do morza. A więc pierwsi władcy Polski rozumieli dobrze, jakie jest znaczenie morza dla rozwoju państwa.

Historia uczy, że wszystkie kultury morskie wykazały w przeszłości większą trwałość istnienia, niż lądowe. One wyrzeźbiły w cywilizacji ludzkiej głębsze ślady, one doprowadziły do wszechstronniejszego rozwoju i rozkwitu.

Nie rozumiała tego, niestety, szlachta w latach późniejszych. Ufna swej „końskiej lokomocji”, odnosiła się z niechęcią do morskiej żeglugi. Utarło się wtedy przysłowie: *Starczy Polsce morza tyle, iżby koń mógł się skąpać, a nie utonąć.*

Zainteresowanie morzem było raczej dorywcze, związane z planem budowy floty wojennej za Zygmunta Augusta w latach 1570—72 (plan ten spotkał się ze zdecydowanym oporem sejmowładztwa), czy też w związku z Gdańskiem oraz rozlicznymi kłopotami handlowymi przy spławie wiślanym. Najniebezpieśliwiej pogłębiła niechęć szlachty do morza wyprawa króla Zygmunta III po koronę szwedzką Wazów, co wciągnęło Polskę do długotrwałej wojny polsko-szwedzkiej.

Wyprawa ta miała przebieg fatalny. Na skutek burzy na

morzu utonęło 140 hajduków królewskich, 18 żołnierzy i 22 szwedzkich marynarzy. Zginęła też prawie cała stadnina końska. Wieść o tej dotkliwej porażce morskiej szybko obiegła kraj. Poeta ówczesny, Kasper Miaskowski (1553—1622) zareagował na nią słowami:

*Bezpieczniej Polak w polu
z kopyą podskoczy,
I na ziemi do szabli bardziej
on ochoczy
A maszt, żagiel i krzywą kotew,
niech ci mają
Co nad słonym Neptunem
od pieluch mieszkać.*

Bez wpływu pozostał paneryk dworski Andrzej Zbylitowski (1565—1606), ujęty w formę poematu w czterech rozdziałach pod tytułem „Droga do Szwecji Króla Jegomości w roku 1594”.

Uważano, że miał rację stary Mikołaj Rej, pisząc: *Bogdaj na morzu nikt dobry nie był.*

Poemat ten przyjęty został jako przesadna pochwała dworu królewskiego, a opis grozy sztormu raczej lęk budził w szlachcie, niż zachęcał do żeglugi.

Historia literatury staropolskiej jest raczej ubogą w utwory związane z morzem. Prawie do wyjątków należy artystycznie najwyżej stojący poemat Marcina Borzymowskiego, poety z połowy XVII wieku pod tytułem *Morska nawigacja do Lubeki* (1662 rok). Jest on ciekawy ze względu na pierwszy u nas, tchnący silnym przeżyciem i prawdą, opis burzy morskiej. Warto zaznaczyć, że wydanie tego poematu opracował bardzo starannie prof. dr Roman Pollak z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu i zaopatrzył je obszernym wnikliwym wstępem.

Na więcej poezji staropolskiej nie zdobyła się. Nie porwały poetów polskich fantastyczne wieści, jakie nadchodziły do kraju o wyprawach Krzysztofa Kolumba. Nie zainteresowano się wydanymi we Florencji tacińskimi enuncjacjami o czynach żeglarskich znakomitego

(Ciąg dalszy na str. 2)

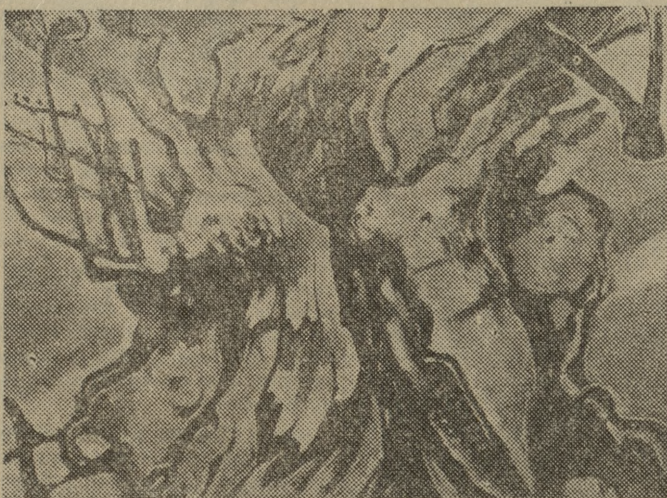
Rynek Starego Miasta. Jego dzisiejszy teren został wydzielony jeszcze w XIII wieku. Tutaj w roku 1437 został stracony Jan Rohacz z Dube. W tyle kościół Tyński. W lewo ratusz, w którego wieży znajduje się zegar z kurantami. W Poznaniu trykają się koziołki, tutaj następuje przemarsz dwunastu apostołów. (O architekturze Pragi czytaj na stronie 3.)

POLSKA PLASTYKA W WENECJI

Co dwa lata spotykają się w Wenecji reprezentanci sztuki różnych narodów, aby pokazać to, co mają najlepszego, a przy okazji poznać osiągnięcia artystyczne innych. Rok bieżący jest właśnie rokiem Biennale. Wystawy w których udział biorą artyści wielu krajów, odbywają się co dwa lata od r. 1905.

Polacy wystawiali na Biennale kilkanaście razy: na dzie sięciu wystawach przedwojennych i na czterech po wojnie. Podobnie jak wszystkie inne kraje, Polska wysyłała i wysyła do Wenecji przede wszystkim prace tych artystów, którzy uważani są za przedstawicieli najwyższej klasy twórczej. Kryteria oceny zmieniają się i dziś z pewnością nie posłalibyśmy na Biennale wiek szości tych prac, które pokazaliśmy tam np. w 1952 roku. Również z naszego dzisiejszego punktu widzenia, nie zawsze można zgodzić się z wyborem artystów, wytypowanych na wystawy weneckie w okresie międzywojennym. Wiele z pokazywanych wówczas dzieł nie wytrzymało próby czasu i poszło w zapomnienie, lub uznawane są za artystycznie słabe, podczas gdy szereg dzieł z lat międzywojennych cieszy się dziś dużym uznaniem, mimo że nie były w swoim czasie wysyłane do Wenecji.

Trudno jednak kogoś za to winić, bo przecież nie można z góry przewidzieć jak w przyszłości oceniany będzie każdy artysta, każde dzieło. Nie patrząc „pod kątem wieczności”, posyła się więc na Biennale to, co aktualnie uważa się za najlepsze i najciekaw-

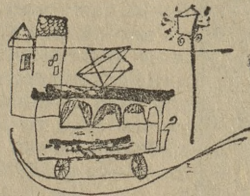


Niestety, nie możemy pokazać prac polskich, wystawianych na weneckiej Biennale; nasza rodzima obsługa fotograficzna, „gdy chodzi o takie imprezy, jest bardzo niemrawa. Reprodukujemy więc dwie prace, które włoskie czasopismo „*Vie Nuove*” uznało za jedne z najciekawszych: obraz francuskiego malarza, Edwarda Pignona oraz na prawo u góry — dzieło plastyka jugosłowiańskiego, Hegedusica.

Jadwiga Badowska

ULICA

W podłużnym pudełku
zabawki rzucone
konik biegnie jak z gumy
i sunie automobil
w tramwaju zgrzytają hamulce
i palą się latarnie
a lalki zaiamują ręce
że nie jadą prędzej



Lucja Danielewska

BIEGUNY DNIA

Świt,
płowięją gwiazdy,
Słońce jabłkiem spada
w misę dnia.

Dzień —
kobiątka zdarzeń.
Domy — ciepłe gniazda
pełne spraw.

Czas —
niebieski pociąg,
Dzieci mijają w szkole —
nowy kwiat.

Zmierzch
przechodzi w ciszę.
Most gwieździstej nocy
srebrem spada.

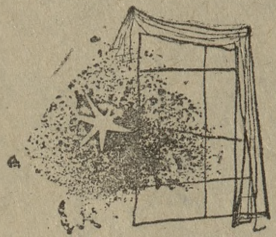


Czesław Kubalik

GWIAZDY

Dzieci mówiły, że są białe.

Ojciec nas zapewniał
o barwie dobrej,
czystej jak niebo.



Silni — co noc
rubinowymi zapalali pięciokątami.

A najmądrzejsi kpili
z barwy nieistniejącej.

Pozostała mi
tylko własna o nich prawda.

Julian Rynowiecki

ŻYCIE

Dwie bezradne dłonie
pozostawione sobie
wyciągnięte po wszystko
i para oczu
obmywanych mijaniem

Dłonie zaciskają pustkę
i cofają się
cofają
do twarzy
aż zakryją oczy



Janusz Sauer

OBLĄKANY

Gdy spoglądam na liść
porwany z przydrożnego
drzewa
widzę jak jest
wiatrem obląkany

Drzewu nie potrzebny
zdany na łaskę
wiatru
który się nim bawi



Ilustrował: L. SUSICKI

sze. I dlatego wystawy weneckie są tak ważnym i brzemennym w skutki wydarzeniem artystycznym.

Przeglądając katalogi kolejnych Biennale, z zainteresowaniem obserwować można następujące po sobie zmiany „etapów” w rozwoju naszej plastyki, a raczej naszej polityki kulturalnej. Zmiany te uwidaczniają się zarówno w doborze nazwisk reprezentujących nas twórców, jak i w tytułach wystawianych prac. Z perspektywy kilku lat widać, że próbę czasu przetrwały dzieła szeregu artystów z prawdziwego zdarzenia, ludzi, których twórczość stanowi coś



nowego i cennego w naszej odbiegającej niejednokrotnie sztuce. Wymienić tu należy daleko od zachodniego abstrak przede wszystkim nazwiska cjonizmu.

Wacław Taranczewski należy do najstarszego pokolenia naszych twórców. Jego sztuka, znana i ceniona od dziecięcych lat, tak w kraju, jak i za granicą, pokazana była niedawno na wielkiej jubileuszowej wystawie w warszawskim Muzeum Narodowym.

Malarstwo to, podobnie jak i sztuka Stefana Samborskiego, rodowód swój wyprowadza od poimprejonistycznego koloryzmu. Na Biennale konkurencja jest duża. Nielatwo jest zwrócić na siebie uwagę w morzu wielorakich dziwacznych zjawisk plastycznych. Co tam o nas powiedzą? O tym postaramy się jeszcze napisać.

A. KOSSAKOWSKI



Tatusz wyszedł z pracowni...

Fot. Z. MROWIŃSKI

Wśród książek

TRUDNA SZTUKA ROMANSU

Romans, czyli opowieść prozą lub wierszem o ludzkiej miłości, o jej perypetiach, dramatach i konfliktach, przywabia do literatury od wieków bodaj że najliczniejszą rzeszę czytelników. Trudne sprawy ludzkiego serca, które potrafią stać się temem zarówno wstrząsającej tragedii, jak i łzawego melodramatu, pociągają tak samo silnie i pisarzy: doświadczeni artyści i próbujący swego pióra debiutanci nie potrafili oprzeć się pokusie powiedzenia czegoś nowego, odkrywczego na odwieczny temat pogmatwanych związków łączących lub — jeszcze częściej — rozdziałających mężczyznę od kobiety, ich miłość od nienawiści.

Przypuszczam, że taka pokusa była również inspiracją pierwszej powieści w twórczości Włodzimierza Odojewskiego zatytułowanej nieco melancholijnie „Białe lato”*)

Współczesna tragedia miłosna, obojętne, gorycz i niezrozumienie, woiskające się między dwoma ukochanymi ludźmi smutna pouta uśmiechniętej sielanki — oto wątki znane aż nazbyt dobrze sędziom i adwokatom, prowadzącym dziś procesy rozwodowe, które oplatają i treść „Białego lata”. Wątki drzące najbardziej intymną aktualnością, sprawy subtelne i delikatne, a tak łatwo mogące się zmienić w pornograficzną karykaturę, bądź podlaną fałszywą wzięłością fałsz — oto zarazem ogólny, ludzki sens pokazania miłosnej klęski Julii i Karola — dziennikarki i kandydata naukowca, rodem z Polski roku...

Właśnie: z któregoż to roku pochodzą ci ludzie i przedstawiający ich romans Odojewskiego? Na końcu książki widzimy daty: sierpień — grudzień 1955, lipiec 1957, w środku tomu spotykamy — rzadko co prawda — realia, mające w intencji autora usadocić, utwierdzić bohaterów „Białego lata” w kraju i czasie nas otaczającym, w jego atmosferze i życiu. Skutek tych usiłowań, niekonsekwentnych zresztą i raz po raz jak gdyby w pośpiechu urwanych, nie może być nazwany sukcesem: polskiej współczesności jest w tej książce za mało, by mogła ona stać romansem obyczajowym i jednocześnie za dużo, by uznać „Białe lato” za dalekiego chociażby krewnego takich ponadczasowych opowieści miłosnych, jak „Mój przyjaciel Meaulnes” Fourniera, bądź „Opętanie” Radiguet.

I chyba właśnie dlatego bohaterów „Białego lata” spotyka niemal od razu po zawiązaniu fabuły los najsmutniejszy, jaki może przypaść w udziale postaciom z romansu: czytelnik przestaje im współczuć, bo nie rozumie, nie widzi sensu łamiącej Julii i Karola tragedii, ani współczesnego, ani

*) Włodzimierz Odojewski „Białe lato” Poznań — 1958, Wydawnictwo Poznańskie, s. 153, 1 mb.

ponadczasowego, ogólnoludzkiego. Zamiast oglądać dramat, patrzy na melodramat; miast wzruszać się nieszczerze — irytuje się historią; w miejsce subtelnych, wnikliwych a nowoczesnie przyrządzonych literacko analiz psychologicznych musi się zadowolić schematycznie naturalistycznymi sytuacjami erotycznymi, które wstrząsnąć są w stanie chyba tylko dojrzałymi podmiotami. Innymi słowy: pokusa stworzenia nowoczesnego polskiego romansu, jaka stawała przed Odojewskim raz po raz na kartkach „Białego lata”, przerosła jego siły i możliwości w chwili, gdy pisarz zapomniał, że erotyzm — podobnie jak i inne motywy i wątki fabularne — w literaturze musi przemawiać nie tylko do sentymentu i zmysłów czytelnika, ale i do jego rozsądku, intelektu i umiejętności posługiwania się zasadą przyuczynowo-skutkową.

Przed rokiem pisałem z okazji opowieści marynistycznych Odojewskiego, że „Upadek Tobiasza”, wydany przed kilku laty, pozostaje najlepszą książką tego pisarza. Po roku, który dzieli „Spisek czarnych orłów” od „Białego lata”, muszę niestety powtórzyć to samo; Jak się okazuje, romans wy maga nie mniejszego od marynistyki kunsztu literackiego — i tu i tam ambicje tylko nie wystarczają...

Zbigniew PĘDZIŃSKI



Młody rzeźbiarz — David Wynne używa zamiast dłuta... świda pneumatycznego. Trudno się dziwić, dzieło jego powstaje bowiem z granitowego bloku o wadze 100 ton. „Brigada pracy”, której odlew widzimy na pierwszym planie, będzie miała ponad 5 m długości, a wazę będzie „tylko” 25 ton.

Fot. — GAE

TRAMWAJ ZWANY POŻĄDANIEM

Często słyszę pytanie, czy mój pesymizm, postaci moich sztuk i sceny pełne grozy, nie stanowią jakiegoś odbicia chaosu panującego w naszym świecie. No, cóż czasem zrywam pytających jakąś „komiczną” odpowiedzią, bowiem nie lubię celebrowania pewnych rzeczy. W rzeczywistości sprawa jest całkiem prosta. Piszę, ponieważ lubię pisać...

O to credo i to bardzo szczerze credo Tennessee Williamsa — amerykańskiego dramatopisarza, który swą karierę sceniczną rozpoczął w roku 1945 znakomitą sztuką *Szklana menażeria*. Williams należy do powojennego pokolenia pisarzy dramaturgów, a najcharakterystyczniejszą cechą jego twórczości jest połączenie realizmu, graniczącego niejednokrotnie z naturalizmem — z poetycką wizją świata.

Cały sztafaż, cała sceneria jego sztuk, jest na wskroś realistyczna, ale na jej tle żyją sceniczne postacie, które umieją na ów szary, często brutalny świat — patrzeć przez pryzmat poezji. Rozbieżność, rozdźwięk między jednostką a otoczeniem — stanowi główny konflikt wielu jego dramatów. Konflikt, u którego podłoża leży głęboki pesymizm autora.

Przejawia się on tak w samym tle akcji, w pewnych elementach zewnętrznych, jak i w predyspozycjach psychicznych bohaterów. Każdy, a najczęściej każda z nich (Williams chętnie posługuje się postaciami kobiecymi) — to studium przeróżnych stanów psychicznych, często studium neurastenii, czy po prostu psychopatii.

Trzeba od razu powiedzieć, że stosunek autora do wielu zagadnień jest bardziej emocjonalny, niż racjonalny, bardziej intuicyjny, niż przemysłany, czy wyrozumowany — ale właśnie jego sztukom dodaje specyficznego uroku.

Tak jest również w *Tramwaju zwanym pożądaniem*.

W *Tramwaju* w przeciwieństwie do *Szklanej menażerii* czy *Kotki na gorącym blaszanym dachu* — główna bohaterka, Blanche z całym światem swych wewnętrznych przeżyć, jest bardziej niż w innych dramatach postacią tragiczną. Jej tragizm tkwi nie tylko w predyspozycjach psychicznych, ale jest uwarunkowany również i światem zewnętrznym. Tło społeczne, niemal socjologiczna analiza środowiska — jest tu bardzo wyrazista, zarysowana ostrymi konturami. Bohaterka „*Tramwaju*” chce w pewnym stopniu dostosować się do otoczenia, tkwi w niej głęboka afirmacja życia. Niestety życie obe-

szło się z nią tak brutalnie, tak ją boleśnie odepchnęło, że nici łączące ją z otoczeniem, powoli, jedna po drugiej pękają i Blanche zostaje sama, sama ze swym obłędem.

Każdy aktor ma w swej karierze sceniczej jakąś rolę, w której najlepiej się czuje, w którą wkłada całe swoje „ja” i dzięki temu rola ta jest

Elżbieta Elbanowska

jego największą, najlepszą rolę. Zdaje mi się, że tak właśnie jest z Ireną Maślińską w roli — Blanche — tej jedynej postaci, nad którą dłużej zatrzymał się pędzel artysty.

Blanche — to piękna i trud-

na rola Rola, na której opiera się cała niemal sztuka.

Wiele widziliśmy już ról Ireny Maślińskiej od niezapomnianej *Balladyny*, po *Starość panią*, ale Blanche — to chyba największa z dotychczasowych kreacji aktorki, która w przeciągu kilku czy kilkunastu lat, pokazała nam w Poznaniu, tak wielką skalę swych scenicznych możliwości.

Powoli, scena po scenie Blanche zmienia się, zmienia się na naszych oczach, dojrzała do wspólnego, końcowej sceny obłędu. Inna była w rozmowie z siostrą, Inna przy Stanley'u, jeszcze inna przy Mitchu — a jednak odstaniała znakomicie z wielką psychologiczną prawdą swoje właściwe „ja” — kobiecie nieszczęśliwej, pozabawionej miłości, kobietę skomplikowaną, subtelna, która zimne i brutalne życie zarażało nieuleczalną chorobą psychiczną.

Te ostre zetknięcia z otoczeniem — w interpretacji Maślińskiej wyraźnie pogłębiały owe rysy oddzielające ją od normalnego życia. Zresztą poetycka natura Blanche wyrażała ją do tego predestynowała.

Niewątpliwie zasługą reżysera Ryszarda Sobolewskiego jest czytelność problematyki, dodajmy trudnej i skomplikowanej problematyki. Tak łatwo było tu pójść na pewne uproszczenie, którym było by zbyt wyeksponowanie tła społecznego, że szkoda dla prawdy psychologicznej. Tymczasem w spektaklu poznaliśmy te dwa plany znakomicie współgrając, z jednej strony świat Blanche, z drugiej brutalność, siła Kowalskiego i jego kompanów.

Sama budowa sztuki nastrożczała niemało reżyserkich problemów. Ryszard Sobolewski zdecydował się na technikę filmową i trzeba przyznać, że zreczenie pokonał wszelkie trudności związane ze zmianą miejsca i czasu. Bo *Tramwaj*, jak na współczesną sztukę przystało — nie martwi się ani tym — gdzie jedzie,

ani tym kiedy i gdzie powinien się zatrzymać. Sprawa podziału na akty — musiała być rozstrzygnięta przez reżysera.

Ryszard Sobolewski na ogół trafnie „poustawiał przystanki” — może tylko należało zrobić przerwę między wyjściem Blanche i Mitcha, — na zabawę, a ich powrotem. Wygaszanie światła i przerwani muzyki nie dość jasno tłumaczyły sytuację — zresztą to raczej drobniaczki, pozostałe jedenaście obrazów zmieniało się płynnie, jak na filmowym ekranie.

Pośród aktorskiego zespołu (po Irenie Maślińskiej) wyróżnia się Eugeniusz Robaczewski, jako Stanley — mąż siostry Blanche (z pochodzenia Polak osiadły w Ameryce) w którym trudne warunki życia wyrobiły siłę i brutalność, można go określić jako „pierwotną naturę” — antytezę przerafinowanej kultury.

Robaczewski był pełnokrwistą, żywą postacią, ową brutalność, — główną cechą zewnętrzną swą rolę, pokazał z dużym umiarem, chociaż naogół grał z temperamentem.

Pośród kompanów Stanley'a na uwagę zasługuje Mitch — Henryk Olszewski. Jedną z niewielu postaci, bardziej przybliżoną przez autora. Postać stanowiąca pewien pomost między światem Stanley'a, a światem Blanche. Olszewski potraktował tę rolę bardzo subtelnie, wydobyl z niej wiele psychologicznej prawdy, ożywił postać, którą autor — potraktował zbyt funkcjonalnie. Może tylko za wiele przydał jej — cech naiwności, jego Mitch — to mały chłopczek zagubiony w złym świecie, wśród złych — brutalnych ludzi. Trzeba jednak powiedzieć, że i takie ustawienie roli miało dla widza pewien urok.

Wszystkie pozostałe role — cały zespół był na bardzo dobrym, wyrównanym poziomie. Szczególnie Stella — Maria Możdżeńkówna — wiele wydobyła ze swej roli, roli stosunkowo mniej wdzięcznej, bo najbardziej przez autora uproszczonej. Stella po prostu ślepo i z odaniem kocha swego męża. Oto cała jej charakterystyka. Możdżeńkówna — dobrze poradziła sobie z trudną rolą „pozytywnie bohaterki”, którą zresztą sam autor zubożył na rzecz siostry Blanche

1

Kontusze

a sprawa morska

(Dokończenie ze str. 1)

Florentczyka Ameriga Vespuc-ci, który pierwszy dotarł do szalego lądu Ameryki Południowej, ani wreszcie wyprawami żeglarza portugalskiego Vasco de Gamy do Indii. Będą o nich pisać historycy, będą ich wielbić i sławić poeci wielu narodów, ale nigdy polscy. Szlachcica polskiego nie nie potrafiło wytrącić z jego ładowej równowagi.

Trzeba było dopiero burz dziejowych, które przeszły nad nami, aby obudziła się idea polityki morskiej Mieszka I i Bolesława Chrobrego oraz Władysława IV i wiatr od morza poniosł ją po całej Polsce.

Henryk BARAŃSKI

PADEREWSKI

12 lat temu zmarł Ignacy Paderewski. Nie było chyba drugiego artysty Polaka, którego nazwisko byłoby tak popularne na całym świecie. Nazwisko jego jest również związane z naszym miastem; ale ponieważ pisaliśmy o tym stosunkowo niedawno, dziś zamieszczamy kilka wspomnień o Paderewskim, z czasów jego kariery artystycznej.

Po powrocie do Warszawy ze studiów w Berlinie, wybrał się Paderewski ze swym kolegą, profesorem nauki gry na skrzypcach w konserwatorium warszawskim, do jednego z kąpielisk. Postanowili urządzić tam koncert. Niestety — pianino, na którym miał grać Paderewski, było bardzo stare i zniszczone: kilka młotków zaczynało się.

Z kłopotu wybawił Paderewskiego pewien student, który wyraził gotowość popychania w czasie koncertu tych kilku zaczynających się młoteczków. Jak opowiadał Paderewski, z akompaniamentem było jeszcze pół biedy. Gdy jednak zaczął popisywać się jako solista, student, umieszczony za pianinem, skakał bez przerwy jak oszalały, by nadażyć z ożywianiem popsutych młoteczków.

Jak się pani podobają ten młody pianista? — spytał ktoś po koncercie.

— Bardzo, ale moim zdaniem, lepszym od niego był ten drugi, który ukrył się za pianinem. Ten się dopiero napracował uczelwiel

W listopadzie 1891 roku wyjechał Paderewski do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie zdobył ogromną sławę swymi koncertami, a także przyjaźni wybitnych osobistości świata politycznego USA. Oto jedno ze wspomnień Paderewskiego z pobytu w Ameryce:

„Pamiętam — pisze — z jaką niecierpliwością oczekiwałem koncertu w Chicago 31 grudnia i 1 stycznia 1892 r. Nie przewidziano dla mnie czasu na próbę z orkiestrą, którą prowadził mój znany dyrygent Teodor Thomas. Na domiar złego nie widziałem nigdy przedtem ani jego, ani sali „Auditorium”, w której koncerty były wyznaczone. Przyjechałem do Chicago w godzinach przedpołudniowych, a początek koncertu był o 14.30. Koncert rozpoczął się jakąś uwerturą, której słuchałem w pokoju dla artystów, samotny i zdenerwowany. Po skończeniu utworu orkiestralnego wszedł śpiesznie niski jęzemioc w peruce, który wołał głośno: „Paderewski, gdzie jest Paderewski?” Stałem przed nim przedstawiając się. Thomas potrząsnął energicznie moją dłoń i poklepał mnie przyjaźnie po plecach mówiąc: „Wobec tego chodźmy grać”. Koncert przed salą wypełnioną czterema tysiącami osób, odbył się bez przeszkód i został uwieńczony olbrzymim sukcesem. Przyjaźń zawarta od tego czasu pomiędzy nami przetrwała wiele lat. Nieraz koncert był przez nas obu mile wspominany, a Thomas zapytywał zdziwiony, jak mogłem odważyć się na koncert fortepianowy bez próby z orkiestrą. Odpowiedziałem szczerze, że wszelkie moje obawy pieszczły na jego widok i z całym zaufaniem do jego pałeczki grałem koncert spokojnie do końca.”

Pod wpływem poematu „How Paderewski plays” (Jak Paderewski gra), napisanego przez Watsona Gidera i entuzjastycznego artykułu znanego tamtejszego pianisty dra Williama Masona publiczność amerykańska witała artystę bardzo spontanicznie, zjawiając się nader często za kulisami, aby uścisnąć dłoń sławnego Polaka. Amerykańskie „shakeshands” jest dość energiczne („to shake” znaczy dosłownie „potrząsać”), tak że Paderewski boleśnie odczuwał twarde i szorstkie uściski Yankesów. Opowiadał, że kiedy prawą dłoń miał już niemal spuchniętą, wówczas podawał lewą, a potem w ogóle zaprzestał tego męczącego zwyczaju. Swe niebывале osiągnięcia zawdzięczał Paderewski niesłychanemu wysiłkowi. W czasie jednego z tournée, pracując po 17 godzin dziennie (!) naderwał sobie ścięgno czwartej palca lewej ręki. Stało się to nagle w czasie koncertu w Rochester, który z najwyższym wysiłkiem, zaciskając zęby z bólu, dograł do końca.

Rekord zimna:

ANTARKTYDA, minus 80 stopni!

Pracująca w centrum kontynentu lodowego na Antarktydzie ekspedycja radziecka 15 czerwca zanotowała temperaturę minus 80,1 C.

Jest to najniższa temperatura, jaką zanotowano na kuli ziemskiej (oczywiście — chodzi o temperaturę naturalną).

Co uczeni radzieccy zaobserwowali przy tak niskiej temperaturze?

Kropła wody, rzucona na lód przy 80 stopniach mrozu, zachowuje się tak samo, jak rzucona na rozpaloną blachę: zamienia się w parę, która błyskawicznie zamraża, lecz nie łączy się z lodem.

Przy takiej temperaturze nafta zamarza i wygląda jak mokry śnieg. Beczki metalowe pękają przy uderzeniu siekiera. Oczywiście — przestają działać aparaty fotograficzne, maszyny do pisania itp.

A organizm człowieka?

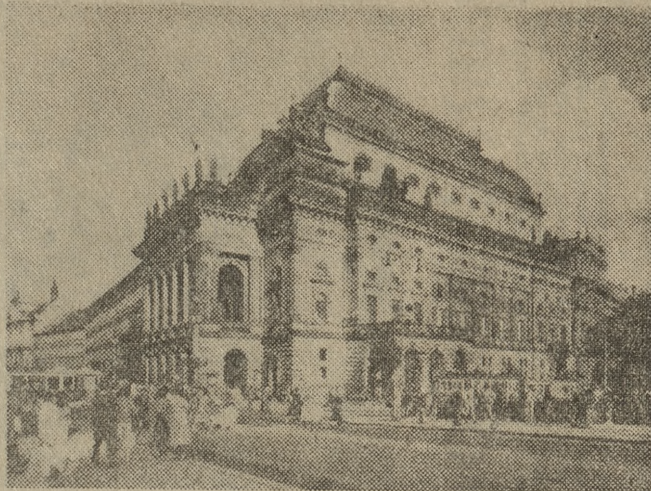
Na wolnym powietrzu człowiek może przebywać najwyżej 20 — 30 minut z uwagi na szybką utratę ciepła. Przemiana materii ulega zaburzeniom, które występują również w działaniu tarczycy. O możliwości rekordowego odmrożenia ręki czy nogi nie warto wspominać...

Polarnicy radzieccy doskonale przygotowali się do ciężkich warunków atmosferycznych. We wnętrzu budynków panuje temperatura od 17 do 20 stopni ciepła. Uczeń, prowadzący obserwacje meteorologiczne i aerologiczne na wolnym powietrzu, zaopatrzeni są w elektryczne grzałki dla ochrony nóg, rąk i piersi. Na twarz nakładane są maski ochronne, a oczy uzbrojone są w specjalne okulary. Pod maską znajduje się aparat z telenem, aby można oddychać powietrzem pod ubraniem.

Nie jest wykluczone, że temperatura w najbliższych tygodniach na „biegunie zimna” spadnie jeszcze niżej, gdyż zima na Antarktydzie dopiero się rozpoczyna.

(mh)

MIASTO STU WIEŻ



Teatr Narodowy. Najpiękniejsze dzieło czeskiej architektury XIX w. Utrzymany jest w stylu północno-włoskiego renesansu z późniejszych lat. Jego architektem jest J. Zitek. Powstał w latach 1868—81.

Któż z nas, Polaków, słysząc „Praga”, nie doda automatycznie — „złota”? Niewiele natomiast wie, że przymiotnik ten powstał nie tylko od... pozłocień, które można dość często spotkać, ale również dla podkreślenia uroku życia w nadwłatawskiej stolicy. Ileż tu świetnych kawiarni, restauracji, winiarni, prosierni piwa, gospód, gospódek, barów-automatów...

Zajrzyjmy jednak do kart historii tego grodu, tak pilnie pielęgnowanego przez jego mieszkańców.

Praga wstępuje do historii już w X wieku. W tym okresie istniały dwa zamki: hradeński i wyszogrodzki. Wokół nich znajdowały się niewielkie osady rozłożone po obu stronach Wełtawy. Obok drobnych budowli powstają monumentalne romańskie kościoły, klasztory i dalsze zamki. W pierwszej połowie XIII wieku następuje rozkwit gotyckiego budownictwa. W szybkim tempie zabudowane zostaje Stare Miasto, które otrzymuje teraz mur obronny. W XIV wieku rodzą się nowe dzielnice: Mała Strona, Hradczany i Nowe Miasto (praskie). Ciekawym zjawiskiem jest fakt, że gotyk był

tutaj dominującym kierunkiem architektonicznym aż do połowy XVI wieku, a renesans niewiele pozostawił po sobie pamiętek.

Dopiero barok zaatakował rosnące miasto i zmienił jego architekturę. Wczesny okres tego kierunku obdarza Pragę nową fortyfikacją oraz szeregiem dalszych klasztorów i zamków, gwałtem wciśniętych do ram starego miasta. Na początku XVIII wieku tworzy się nowa jego panorama. Modernizuje się stare średniowieczne place, powstają tarasy na wysokich brzegach rzeki. Na przełomie XVIII i XIX wieku Praga podporządkowuje się ówczesnemu rozwojowi cywilizacji, ale mimo to pozostaje aż do połowy XIX w. miastem baroku. Okres empirii i romantyzmu dodają jedynie nowe nabrzeża, promenady i parki. Dopiero druga połowa XIX w. przynosi burzenie fortyfikacji, rozbudowę przedmieść i regulację rzeki w mieście, co nie ma wpływu na zmianę charakteru architektury Pragi.

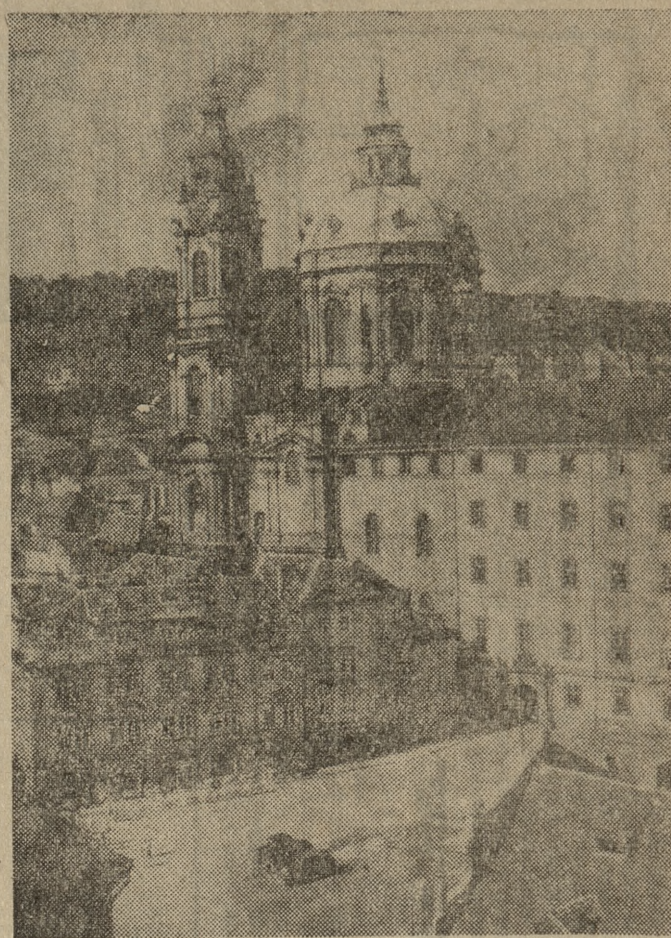
Nowe budownictwo daje szablony bloki, jak gdyby chciało wymazać średniowieczną historię grodu. Nic więc dziwnego, że w pierwszych latach

naszego stulecia powstaje fala głosów, żądających zachowania starego wyglądu miasta, aby dalszy jego rozwój opierał się na rozsądnych podstawach nowoczesnej urbanistyki.

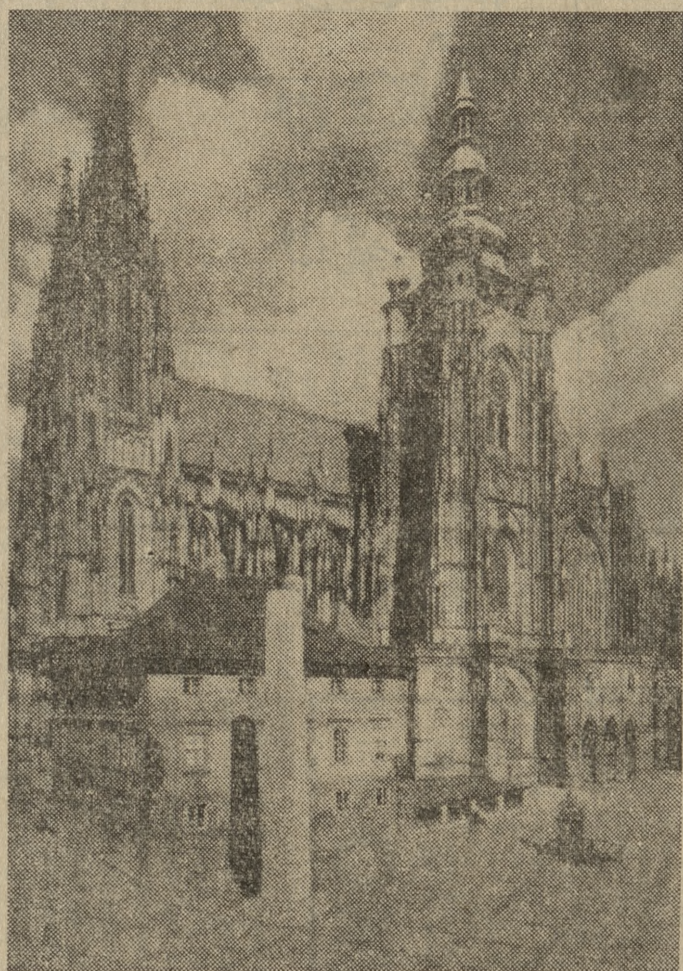
Niezależnie jednak od nieporozumień współczesnych, Praga jest prawdziwym skarbem dla historyków sztuki, architektów. Każdy styl jest tutaj reprezentowany.

Z romańskiego okresu pozostały kamienne domy mieszczan, rotunda katedry Św. Wita, resztki książęcego pałacu na zamku hradeńskim. Z wczesnego gotyku — klasztor Aneżki i żydowska synagoga, z późnego zaś — katedra Św. Wita, kościół Panny Marii przed Tynem, ratusz na Starym Rynku, Karolinum i Kamienny Most (Most Karola), Sala Władysława na hradeńskim zamku i Prochowa Brama. Renesans pozostawił „Le-tohradek” — letnią królewską rezydencję, kilka szlacheckich pałaców (Schwarzenberski) i domy mieszczan. Szczególne miejsce zajmuje barok. Niesposób tu wymienić wszystkich zabytków, które powstały w okresie trwania. Ich autorami są: Luraga, Canevale, Mathey, Santini, Dienzenhofer i inni.

We wszystkich muzeach, pałacach, zamkach itp. płaci się



Rynek Małej Strony. W głębi kościół Św. Mikołaja z budynkiem dawnego internatu Jezuitów, który powstał w drugiej połowie XVIII wieku, kościół natomiast kilkadziesiąt lat wcześniej. Świątynia ta jest szczytowym osiągnięciem baroku w mieście.



Katedra Św. Wita. Początek jej budowy w 1344 roku. W ciągu dalszych stuleci ulegała jednak wielu przebudowom.

wstęp. Czasem trzeba płacić wstęp nawet kilka razy. Z pewnością niejednemu z Was nie podobają się tego rodzaju postępowanie — ale faktem jest, że zabytki architektoniczne są tam konserwowane o całe niebo lepiej niż u nas.

Zenon JAROCKI

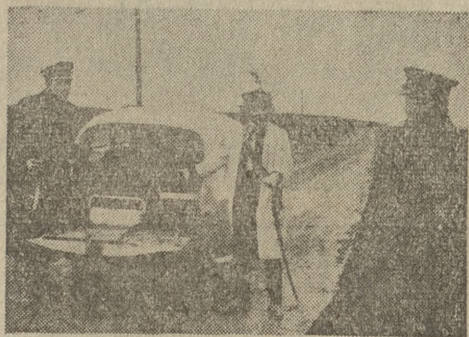
Elektrownia morska

W zatoce St. Malo przystąpiono do robót ziemnych związanych z budową wielkiej elektrowni wykorzystującej energię przypływów i odpływów morza. Elektrownia będzie miała otwarty zbiornik o powierzchni 20 km², odgradzony przy ujściu rzeki La Rance do morza wielką zaporą wodną. W dolnej części zapory mieszczą się śluzy prowadzące do rur, w które wbudowane będą turbiny. Specjalne turbiny rurowe mają przedstawiane łopatki kierownicze i wirnikowe, co umożliwi pracę przy przepływie wody w obu kierunkach. Mogą one również pracować jako pompy tłoczące wodę w jednym lub drugim kierunku. Bezpośrednio z turbinami sprzęgnięte są generatory elektryczne.

Aby należycie wykorzystać energię morza zaprojektowano taki oto cykl roboczy elektrowni: w chwili, gdy poziom wody po obydwu stronach zapory jest niski, turbiny pracują jako pompy — przetłaczają wodę ze zbiornika do morza, aby przyspieszyć chwilę uzyskania dużej różnicy poziomów; po rozpoczęciu przypływu turbiny rozpoczynają produkować elektryczność, póki poziomy wód w morzu i zbiorniku się nie wyrównają; następnie turbiny zostają uruchomione jako pompy tłoczące wodę morską do zbiornika, w celu zwiększenia różnicy poziomów przy odpływie. Później następuje druga faza wytwarzania mocy — przy wypływie wody ze zbiornika w kierunku morza. Elektrownia ma mieć 68 kWh mocy.

(jh)

ZACZAROWANE KALOSZE



Aktor, grający na scenie rolę Kościuszki, otrzymał nagle parę kaloszy, z czego wynika wiele zabawnych nieporozumień.

W bajce Andersena było tak: każdy, kto włożył parę starych, lecz zaczarowanych kaloszy, mógł podróżować w przestrzeni i czasie — w każdej chwili mógł znaleźć się w dowolnym zakątku kuli ziemskiej, mógł zarówno wyruszyć z Sobieskim pod Wiedeń, jak też — powiedzmy — pojechać na wczasy na Mierku.

W filmie pt. „Kalosze szczęścia” sprawa będzie wyglądała nieco inaczej. Kalosze zachowują swą cudowną moc, lecz tylko

w jednym wymiarze. Rzecz zasadniczo rozgrywa się współcześnie, bohaterami akcji są zwykli ludzie, którym przypadek pozwolił korzystać z niecodziennych właściwości tego coraz rzadziej używanego gatunku obuwia, oferowanego — jak u Andersena — przez dwie dobre wróżki.

Tak więc film będzie miał charakter dwoisty: wątek realistyczny przeplatany fantastyką. Ten gatunek ma w filmie nie małą tradycję i stwarza piękne możliwości komediowe — oczywiście przy odpowiedniej pomysłowości reżysera. Przypomnijmy tutaj choćby świetne filmy Rene Claira: „Upiór na sprzedaż”, „Ożeniłem się z czarownicą” czy „Piękności nocy”.

Ponieważ rzecz dzieje się w naszym kraju, cudowne kalosze dość szybko i nie bardzo legalnie zmieniają właścicieli. Z drugiej strony właściciele ci (student,



Jedną z ról w filmie „Kalosze szczęścia” gra ulubieniec polskiej publiczności — Tadeusz Fijewski (na zdjęciu — na prawo).

małomiasteczkowy donżuan, aktor grający rolę Kościuszki, pijak) nie bardzo sobie zdają sprawę z niezwykłych właściwości kaloszy; wiele stąd winno być zabawności i śmiechu.

Życzymy Antoniemu Bohdziewiczowi, który dopasowuje „Kalosze szczęścia” na taśmę filmową, aby okazji do śmiechu nie zabrakło, a wytwórni łódzkiej — aby jak najszybciej ukończyła film i dała go do eksploatacji. Dość dawno bowiem nie mieliśmy polskiej premiery filmowej.

(b)



Ten stary malarz otrzyma za chwilę od wróżek parę cudownych kaloszy. Jak skończy z ich czarodziejskich właściwości?

Nadmuchiwanie anteny dla stacji przekątnikowych (telewizja) skonstruowano w USA. Antena taka zrobiona jest z włókna szklanego, pociągniętego plastykiem.

*

Robot tenisowy powstał w Australii. Robot potrafi podawać piłki w dowolnym kierunku.

*

Taka była temperatura 150 milionów lat temu? Odpowiedzi na to pytanie spodziewa się udzielić chemik amerykański — H. C. Urey, który skonstruował tzw. „termometr izotopowy”. Jego działanie opiera się na stwierdzeniu w wodzie zawartości poszczególnych izotopów tlenu, która to zawartość zależy od temperatury. Tlen, pochodzący z wody morskiej, gromadzi się w muszlach rozmaitych mięczaków pod postacią węglanów. A ponieważ nauka potrafi określić w jakim okresie żyły mięczaki, których muszle

Nowości z kraju i ze świata

pokrywają dna oceanów, można — badając w tych muszlach izotopy tlenu utrwalone w postaci węglanów — określić temperaturę panującą w okresie ich wegetacji.

*

W Anglii opracowano nową metodę ochronnego malowania sprzętu, służącego do przybrzeżnych naftowych wierceń morskich. Używa się do tego celu farby zawierającej żywicę winylową, odznaczającą się elastycznością oraz odpornością na sole, zawarte w morskiej wodzie, ścieranie i oddziaływanie wody, ropy i smarów. Farba zabezpiecza również sprzęt przed wpływami atmosferycznymi

mi oraz oddziaływaniem błota, piasku i gliny. Farby z żywicy winylowej służą także do powlekania przybrzeżnych stalowych i żelaznych urządzeń portowych.

*

Badania przeprowadzone w Danii wykazały, że można uzyskać znaczną oszczędność energii przy napędzie statku, jeśli umieścić pod kadłubem odpowiednie komory powietrzne. Próby wykazały, że osiąga się w ten sposób zmniejszenie zużycia paliwa o 30%.

Uzasadnienie teoretyczne korzyści płynących z zastosowania komór powietrznych pod kadłubem statku znane było od dawna, jednakże teraz dopiero zdołano w Danii znaleźć odpowiednie rozwiązanie konstrukcyjne. Polega ono na zastosowaniu układu z zamkniętym obiegiem powietrza. Sześć wielkich stoczników chińskich żywo zainteresowało się odkryciem inż. Haagena, który kierował badaniami.



Foto: Henryk DERA

ZNACIE? NO TO ODPOWIEDZCIE

My także lubimy spacerować po Poznaniu; spacerując zaś obserwujemy ostatnio, iż coraz bardziej wydłuża się nasze miasto — jak co roku w okresie wakacyjnym. Wziąwszy pod uwagę to, że obecnie Czytelnicy nasi wyżej sobie zapewne tenia obserwowanie chmur na niebie, wierzchołków drzew lub fal na strzeszyńskim jeziorze niż najpiękniejsze nawet murowane zabytki — kończymy niniejszym naszą serię konkursowych zdjęć, życząc jak najobfitszego zbioru pięknych widoków podczas urlopów.

Na zakończenie zaś — zapraszamy raz jeszcze do przechadzki po Poznaniu: jest gdzieś taka uroczona uliczka — jedno z ulubionych miejsc zabaw poznańskiej dzieciarni. Wiedziecie, jak ona się nazywa? No, to — po raz ostatni — odpowiedź, nadsyłając do redakcji rozwiązanie (tylko na pocztówkach).

Nagrody za trafne rozwiązanie ubiegłotygodniowej zagadki otrzymują: Mariola Wolna — ul. Jackowskiego 35/5, Elżbieta Klebbówna — ul. Mickiewicza 19/6 oraz Jan Nowicki — ul. Chudoby 6 m. 17. Nagrody do odebrania w redakcji „Nowego Świata” — pok. 66 w godz. od 11—15.



Miał cierpliwość

Policja turecka zaarrestowała pensjonariusza jednego z zakładów dla umysłowo chorych, który zbiegł tunelem wykopanym własnoręcznie przy pomocy łyżki do zupy.



Bez słów

Żelazny mistrz

W Kalifornii skonstruowano robota grającego w szachy. Maszyna według zapewnienia jej konstruktorów potrafi obliczyć 10 posunięć naprzód, a więc gra jak najtępszy szachista.

Aktywista

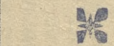
„Pamiętasz Capri, tę wyspę kochanków?” — tak brzmiały pierwsze słowa jednego z najmodniejszych przed wojną szlachetów. Choć od momentu powstania piosenki minęło prawie ćwierć wieku, Capri nadal słynie jako wyspa zakochanych. Osadzone tutaj ostatnio w więzieniu 32-letniego Mario Lenelli, od którego 17 kobiet zażądało płacenia alimentów.

Cierpienia wychowawcy

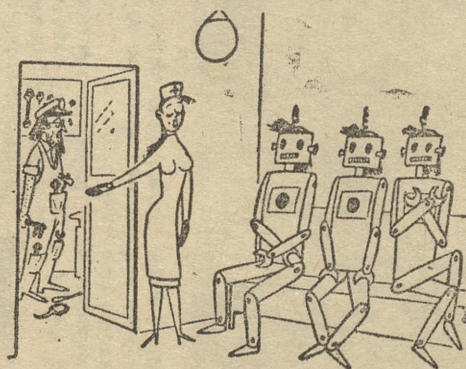
W jednym z popularnych tygodników amerykańskich ukazał się cykl artykułów, poruszających zagadnienie współczesnej młodzieży. Między innymi redakcja tygodnika przeprowadziła rozmowę z ojcem dwóch synów. Oto fragment wywiadu: Pytanie: „Czy bije Pan swoje dzieci?”. Odpowiedź: „Je dymie we własnej obronie”.

Dla stałych klientów...

Kiedy John Bail z Cedar Rapids odbierał z kliniki położni-



— Następny, proszę!



czej swoją żonę, która urodziła mu szesnaste dziecko, kasjerka, u której chciał uregulować rachunek, oświadczyła, iż tym razem... nie nie jest winien.

„Wyrok” na Agatę

Słynna powieściopisarka kryminalna Agata Christie, odnosząca niespotykane sukcesy i triumfy swymi książkami oraz sztukami, poniosła po raz pierwszy w życiu porażkę. Jej sztuka teatralna pt. „Wyrok” została wygwizdana przez londyńską publiczność. (mz)

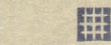
ZEGAREK prawie ... z wodotryskiem

W muzeum w Besançon (dep. Doubs, Francja) znajduje się zegarek, który przydałby się każdemu. Zapoznajcie się z historią i zaletami tego zegarka, a wydacie taki sam sąd.

W końcu ubiegłego stulecia jeden z magnatów rosyjskich, hrabia Mikołaj Nostie zamówił u paryskiego zegarmistrza Ludwika Leroy zegarek, który wskazywałby nie tylko sekundy, minuty i godziny, ale również dni, miesiące, lata przestępne, fazy księżyca, długości geograficzne największych miast Europy, Azji i Ameryki. Zegarmistrz zamówienie przyjął. Sława jego zegarmistrzowskiej sztuki rozeszła się szeroko po świecie.

W roku 1896 do zegarmistrza Leroy zgłosił się portugalski zbieracz zegarków, milioner Montero. Zamówił jeszcze bardziej skomplikowany zegarek, nie przekraczający jednak rozmiarów normalnego zegarka kieszonkowego. Paryski zegarmistrz przyjął także i to zamówienie. Po 2 latach pracy (w której udział brali uczeni — astronomowie i matematycy) — przygotowano projekt. W 1900 roku niewykończony jeszcze zegarek wystawiono na paryskiej wystawie. Ostatecznie Ludwik Leroy oddał wykonany zegarek klientowi

Młoda „gwiazdka” kinematografii hiszpańskiej — Carmen Sevilla.



— Tak, teraz jest dobrze. Nie ruszaj się!

w dniu 15 listopada 1904 roku. Mimo, że zegarmistrz nie spełnił warunków postawionych przez milionera (nie zmieścił się mechanizm wskazujący zaćmienie słońca i księżyca oraz przyprawy i odpływy mórz, portugalski zbieracz stał się posiadaczem najbardziej skomplikowanego zegarka kieszonkowego w świecie.

Zegarek wykonany przez Ludwika Leroy wskazuje: sekundy, minuty, godziny, miesiące i lata przestępne, daty na przeciąg stu lat, pory roku, przesilenia dnia z nocą oraz zrównanie dnia z nocą, chronograf, licznik minut i godzin, posiadający wielki i mały dzwonek, (które wybijają kwadransy i godziny), wskazuje stan nieba na półkuli północ-



W muzeum regionalnym w Darmstadt (NRF) zainstalowano dla zwiedzających krótkofalowe odbiorniki, za pośrednictwem których udzielane są wyjaśnienia i opisy poszczególnych eksponatów.

Fot. — CAF



nej, niebo i horyzont dla Paryża z 560 zaznaczonymi gwiazdami, stan nieba na półkuli południowej oraz niebo i horyzont w Rio de Janeiro z 611 gwiazdami, godziny 125 miast całego świata, godziny wschodu i zachodu słońca w Lizbonie, busole, termometr, wilgociomierz, barometr, wysokościomierz do wysokości 5000 metrów, wreszcie mechanizm pozwalający uregulować zegarek bez otwierania.

Wszystkie mechanizmy tego majstersztyku zegarmistrzowskiej sztuki mieszczą się w pudełku o średnicy 71 mm, wyrzeźbionym ze złota.

Grupa zegarmistrzów francuskich odkupiła ten zegarek za 2 mln. franków od spadkobierców milionera Montero i przekazała do muzeum w Besançon.

ONA, PLECAK, WCZASY I JA...

Zaczął się od tego, że ona utworzyła na środku pokoju wdzięczny pagórek, którego szczyt znalazł się na jednym poziomie z górną częścią obrazu „Barki na przystani rybackiej” wiszącym obok szafy. Pagórek ów składał się z pięciu swetrów, ośmiu bluzek (w tym dwie z nylonu produkcji krajowej) sześciu sukienek i innych równie okazałych liczbowo części damskiego przyodziewku. Całości dopełniało żelazko do prasowania, kryształowa waza na owoce, parasolka, książka kucharska tudzież sześć słoików ogórków, marynowanych metodą warszawską. Wówczas przyszedł on, popatrzył kilkakrotnie i utworzył następny pagórek, nieco mniejszy, lecz równie interesujący. Między innymi można było w nim dostrzec rocznik „Problemów”, podręczne imadło oraz maszynę do pisania marki „Erika”.

Przez następne dni trwała ożywiona dyskusja. Wyglądało to mniej więcej tak: On (słodko): Czy możesz mi powiedzieć kochanie, po jaką cholere zabierasz pięć, słownie pięć, swetrów?

Ona (podobnie): Mogę, kochany. Zabieram je po taką cholere, aby w nich chodzić.

On (jeszcze słodko): To szczególnie! Czyżbyś skarbie, była aż tak narwana, że chla-

lałaby chodzić w pięciu od razu? Na Spitzbergen wszak nie jedziemy! Ona (miód sztuczny): Wszak nie jedziemy na żaden Spitzbergen, ale może być chłodno, co człowiek o przeciętnej inteligencji powinien zrozumieć bez większych komplikacji.

On (raczej zjadliwie): Moja przeciętna inteligencja nie może pojąć nieprzeciętnego rozluźnienia władz umysłowych, które skłoniły kogoś do zabrania głupiego parasola, czy zgola idiotycznego kryształu.

Ona (podobnie): Jak również zwirowanego imadła tudzież zupełnie kretyńskiej maszyny do pisania marki „Erika”.



On (niewiele głośniejszy): Tobie wolno, mnie też!

Ona (głośno): Nie podnoszę głosu! On (zupelnie głośnie): Właśnie podniosę! Bo to właśnie ja będę musiał nosić to wszystko w plecaku, a nie ty!

Ona (łodowato): Możesz nie nosić, ty brutalu!

On (minus 800): Jak mam to rozumieć? Ona (lekceważąco): Ze znajdzie się ktoś, kto...

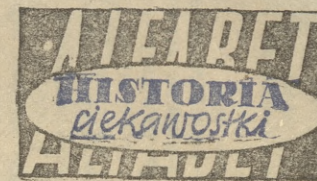
On (duży sarkazm): Ach tak! Rozumiem... Ona (stał szybkołnąca): Nareszcie! Po każdej takiej dyskusji pagórki jednak nieco malały i wreszcie daly się wepchnąć do plecaka — obrzydliwym i kilku praktycznych pakunków. Następnie on i ona udali się na dworzec.

Po trzech dniach sąsiedzi otrzymali depeszę następującej treści:

„Pogoda przepiękna, jeziora również. Przedwczoraj utonęły szczęśliwie dwa praktyczne pakunki, a trzeci oraz połowę plecaka udało się nam zamienić na mapę oraz na świeże grzyby i owoce. Błagamy, rozbijcie drzwi łomem albo czymś takim i przyslijcie ekspressem kostiumy kąpielowe, leżą na trzeciej półce. Wyjażcie także elektryczną maszynkę, jeżeli to będzie celowe. Serdeczne pozdrowienia.” (ek)

KOTOWIECKO (pow. Ostrów). Oto opis dworu z 5 maja 1729 r. „Izba wielka alias stołowa, zła, ściany się wała. Z tej izby komora w lepienkę, ściany zle. W tej izbie okna zle i jednego całego nie masz, drugie w pół tylko jest. Izdebka naprzeciwko tejże izby wielkiej dobra, tylko posowa zła; balki się pozaginały, reperacji potrzebuje. Okna w tejże izdebce zle, w drewno wsadzone. Sien zła, wypreżona. Z tej sieni kuchnia, ta się wali, komi zły. Izba czeladnia w lepienkę lepiąca, okna zle, reperacji znacznej potrzebuje...”

A mieszkał w tym dworze jęmp Kaczkowski, a po nim Ignacy Chmielewski, który nie znał jesz-



cze ubezpieczenia na życie. Bogatą — jak widać — tradycję mają nasze kłopoty z kapitalnymi remontami.

KREPA — dawniej wieś, dziś przedmieście Ostrowa. Osadę tę wymienia akt z 18 lutego 1505 roku z okazji działów pomiędzy córkami właściciela Ostrowa, Kamie-

nicy, Gluchowa, Oswaldowa, Bab 1 Ocięża — Stanisława Sławskiego. Wówczas pisano nie Krepa lecz: Krempa.

Sławę włoską zyskała dopiero w roku 1841. W Ostrowie miał kazię ks. proboszcz Kampalla na temat potrzeby szkoły średniej. Ledwo nabożeństwo się skończyło, sołtys Biegański wręczył mu na ten cel 19 talarów, które zebrał od 7 rolników wsi Krepa. Proboszcz wzruszył się i sam synął ze swojej szkatułki 1000 złotych. W roku 1843 tuż przed śmiercią ks. Kampalla widział już gotowe mury trzeciego polskiego gimnazjum w ówczesnym Wielkim Księstwie Poznańskim. J. P.

T	A	K	S	A	A	S	T	E	R
U	R	O	K			K	A	R	O
N	A	L	O	T		H	A	R	E
E	B	O	N	I	T		D	O	B
L	R		R	O	B	A	K		N
			R	E	W	I	R		
P	K	A	T	A	R	K		B	
O	P	A	T		R	E	M	I	Z
L	A	R	U	M		T	U	P	E
A	R	E	S			Z	E	R	O
K	A	S	Z	A		B	A	R	A

Rozwiązanie krzyżówki

Za nadesłanie poprawnych odpowiedzi nagrody przyznane drogą losowania, otrzymują z Poznania: Melania Zielińska — ul. Szczytnicka 138, Maria Piątkowska — ul. Komandoria 5 m. 20 i B. T. Bielawscy — ul. Dzierżyńskiego 22 m. 11 oraz Urszula Trzcinka ze Srody i Jerzy Żulawski z Ostrowa. Zamiejscowym nagrody przysyłamy pocztą.



— Zawód ojca? — Detektyw...